

ZACHOWUJ SIĘ

jak BIOLOGIA WYDOBYWA z nas
to, co NAJGORSZE, i to, co NAJLEPSZE

ROBERT M. SAPOLSKY



ZACHOWUJ SIĘ

*jak BIOLOGIA WYDOBYWA z nas
to, co NAJGORSZE, i to, co NAJLEPSZE*

TLUMACZYŁ PIOTR SZYMCZAK

Media Rodzina

Tytuł oryginału

BEHAVE

THE BIOLOGY OF HUMANS AT OUR BEST AND WORST

Copyright © 2017 by Robert M. Sapolsky

All rights reserved

Copyright © 2021 for the Polish edition by Media Rodzina Sp. z o.o.

Redaktor Hanna Koźmińska

Ilustracja na okładce Alex Rockheart / Shutterstock

Projekt okładki Radosław Stępiak

Źródła ilustracji podane są na s. 980.

Wykresy, których autorką jest Tanya Maiboroda, znajdują się na stronach: 33, 40, 91, 93, 96, 162, 205, 268, 331, 347, 354, 355, 397, 537, 550, 608, 688, 689, 731, 755, 832, 837–841, 843, 844.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Przedruk lub kopiowanie całości albo fragmentów książki — z wyjątkiem cytatów w artykułach i przeglądach krytycznych — możliwe jest tylko na podstawie pisemnej zgody wydawcy.

ISBN 978-83-8008-827-6

Media Rodzina Sp. z o.o.

ul. Pasieka 24, 61-657 Poznań

tel. 61 827 08 50

mediarodzina@mediarodzina.pl

Łamanie

Scriptor s.c.

Druk

Abedik

*Książkę dedykuję Melowi Konnerowi, który mnie uczył,
Johnowi Newtonowi, który mnie inspirował,
oraz Lisie, która mnie ocaliła.*

Spis treści

Wstęp	9
Rozdział 1	
Zachowanie	23
Rozdział 2	
Jedna sekunda wcześniej	30
Rozdział 3	
Sekundy i minuty wcześniej	103
Rozdział 4	
Godziny i dni wcześniej	125
Rozdział 5	
Dni i miesiące wcześniej	173
Rozdział 6	
Dojrzewanie, czyli „Stary, gdzie moja kora?”	194
Rozdział 7	
Powrót do kołyski, powrót do łona	218
Rozdział 8	
Powrót do etapu zapłodnionego jaja	279
Rozdział 9	
Stulecia i tysiąclecia wcześniej	330
Rozdział 10	
Ewolucja zachowań	404
Rozdział 11	
Swoi kontra obcy	475

Spis treści

Rozdział 12	
Hierarchia, posłuszeństwo i opór	522
Rozdział 13	
Moralność i robienie tego, co trzeba — kiedy już wiesz, co to ma być	585
Rozdział 14	
Odczuwanie, rozumienie i uśmierzanie cudzego bólu	635
Rozdział 15	
Metafory w naszej śmierci	672
Rozdział 16	
Biologia, system sądownictwa karnego i — raz kozie śmierć — wolna wola	703
Rozdział 17	
Wojna i pokój	742
Epilog	811
Podziękowania	816
Dodatek 1	
Podstawy neuronauki	819
Dodatek 2	
Podstawy endokrynologii	851
Dodatek 3	
Białka — podstawowe informacje	856
Słowniczek skrótów	864
Skróty użyte w przypisach	867
Przypisy	869
Źródła ilustracji	980
Indeks	981

Wstęp

Wyobraźni zawsze rozgrywam ten sam zmyślony scenariusz. Po zaciętej walce nasz oddział wdziera się do jego tajnego bunkra... Chociaż nie — jak fantazjować, to na całość. Sam, w pojedynkę, obezwładniłem chroniący go elitarny oddział i wdarłem się do bunkra, czujnie celując z pistoletu maszynowego. On rzuca się po swojego lugera, ale wytrącam mu go z ręki. Rzuca się po kapsułkę z cyjankiem potasu, bo woli popełnić samobójstwo, niż dać się wziąć żywcem. Kapsułkę też wytrącam mu z ręki. Rycząc z wściekłości, rzuca się na mnie z nadludzką siłą. Zmagamy się. W końcu udaje mi się przydusić go i skuć kajdankami. „Adolfie Hitler — mówię — jest pan aresztowany za zbrodnie przeciwko ludzkości”.

Tu kończy się heroiczna wersja fantazji i pojawia się mroczniejszy ton. Co zrobiłbym Hitlerowi? To pytanie budzi we mnie tak silne emocje, że dla nabrania dystansu zmieniam je w myślach na formę bezosobową. Co powinno się zrobić z Hitlerem? Łatwo to sobie wyobrazić, kiedy już raz sobie na coś takiego pozwolimy. Należałoby mu uszkodzić kręgosłup szyjny — to go sparaliżuje, ale nie pozbawi uczucia. Wyłupić oczy tępym narzędziem. Przedziurawić bębenki uszne, wyrwać język. Utrzymywać go przy życiu za pomocą respiratora, karmionego sondą żołądkową. Unieruchomionego, niezdolnego mówić, patrzeć ani słyszeć — tylko czuć. A następnie wstrzyknąć mu coś, od czego dostanie raka, żeby całe jego ciało gniło i ropiało, a guzy rosły i rosły, aż każda komórka ciała zacznie wyć z bólu i każda chwila wyda się wiecznością spędzaną w piekielnych płomieniach.

To właśnie powinno się zrobić Hitlerowi. To właśnie ktoś powinien zrobić Hitlerowi. To właśnie zrobiłbym Hitlerowi.

Od dziecka wyobrażałem sobie różne warianty tej fantazji. Mie-
wam ją do dzisiaj. A kiedy naprawdę dam się ponieść, puls mi przy-
spiesza, dostaję rumieńców, pięści zaciskają mi się same. Ileż to pla-
nów względem Hitlera, największego uosobienia zła i niegodziwości
w dziejach, duszy najbardziej ze wszystkich zasługującej na karę.

Jednak tu pojawia się duży problem. Nie wierzę w istnienie duszy
ani zła, słowo „niegodziwość” moim zdaniem pasuje co najwyżej do
musicalu, wątpię też, czy w wymiarze sprawiedliwości w ogóle po-
winno być miejsce na stosowanie kar. Ale tu pojawia się kolejny pro-
blem — jak najbardziej czuję, że niektórych ludzi należałoby uśmier-
cić, mimo że jestem przeciwny karze śmierci. Nieraz świetnie się
bawiłem na tandetnych filmach ociekających przemocą, choć je-
stem zwolennikiem surowego regulowania dostępu do broni. Muszę
przyznać, że na przekór majaczącym mi w głowie zasadom miałem
ogromną uciechę, kiedy na urodzinach jakiegoś dzieciaka zagrałem
w laserowy paintball i strzelałem z kryjówek do nieznanomych ludzi
(bawiłem się doskonale, dopóki jakiś przyszczaty szczeniak nie tra-
fił mnie z milion razy, a potem jeszcze mnie wyśmiał, doszczętnie
odzierając z poczucia męskości i pewności siebie). A przecież znam
niemal na pamięć słowa piosenki *Down by the Riverside* Louisa Arm-
stronga („Nie będę wojny uczył się...”) i wiem nawet, kiedy trzeba
w niej klaskać do taktu.

Innymi słowy, myśli i uczucia związane z przemocą, agresją czy
współzawodnictwem rodzą w mojej głowie mętlik — jak u większo-
ści ludzi.

Niczego tu nie odkryję, mówiąc, że nasz gatunek ma problemy
z przemocą. Mamy techniczne możliwości, aby wytworzyć tysiące
atomowych grzybów; z naszych przyszciców i kratek wentylacyjnych
w metrze sączyły się trujące gazy, w listach znajdowano laseczki wą-
glika, samoloty pasażerskie służyły jako broń; masowe gwałty mogą
być wykorzystywane jako wojenna strategia; na placach targowych
wybuchają bomby, w szkołach dzieci uzbrojone w broń palną masa-
krują inne dzieci; są dzielnice, w których każdy — od dostawcy pizzy

po strażaków — obawia się o własne bezpieczeństwo. Są też subtelniejsze formy przemocy, np. znęcanie się nad dziećmi albo szkody psychologiczne, które ponosi mniejszość na widok symboli, które mają ją zastraszyć, krzycząc o dominacji większości. Zawsze kładzie się na nas cieniem groźba, że jacyś inni ludzie wyrządzą nam krzywdę.

Gdyby sprawy miały się tylko tak, z intelektualnego punktu widzenia przemoc byłaby czymś prostym. AIDS? Jednoznacznie negatywna sprawa — zwalczyć całkowicie. Choroba Alzheimera? To samo. Schizofrenia, nowotwory, niedożywienie, gangrena, globalne ocieplenie, uderzenia komet? Jak wyżej. Problem w tym, że przemoc do tej listy nie pasuje. A czasem wręcz nie mamy z nią najmniejszego problemu.

Oto najważniejsza myśl tej książki — my wcale nie nienawidzimy przemocy. Nienawidzimy i lękamy się przemocy *nie właściwej*, przemocy w nieodpowiednim kontekście. Co innego, kiedy przemoc pojawia się w kontekście właściwym. Wtedy płacimy żywą gotówką, żeby móc ją oglądać w halach widowiskowych, uczymy dzieci odważnie walczyć o swoje, czujemy ukłucie dumy, kiedy w zwapniałym wieku średnim gramy sobie w weekend w koszykówkę i uda nam się wrednie odepchnąć kolegę biodrem. Nasze rozmowy są pełne wojennych metafor — kiedy ktoś „zbija” nasze argumenty, zbieramy siły do „kontrataku”. Przemoc jest fetowana w nazwach amerykańskich klubów sportowych: grają Warriors (Wojownicy), Vikings (Wikingowie), Lions (Lwy), Tigers (Tygrysy) czy Bears (Niedźwiedzie). Nawet tak intelektualny sport jak szachy nie jest wyjątkiem — „Kasparov nieustannie nacierał, szukając okazji do wyprowadzenia morderczego ataku. Pod koniec musiał odpowiadać przemocą na przemoc, aż partia przerodziła się w bezładną wymianę ciosów”¹.

Budujemy całe teologie osnute na przemocy, wybieramy przywódców, którzy czują się z nią jak ryba w wodzie, wiele kobiet najchętniej wiąże się ze zwycięzcami różnych rodzajów walk. Kiedy przemoc jest „właściwa”, uwielbiamy ją.

Agresja jest wyzwaniem właśnie ze względu na swoją dwuznaczność — pociągnięcie za spust może być odrażającą napaścią, ale też aktem miłości i poświęcenia. A tym samym przemoc na zawsze pozostanie niezwykle trudnym do zrozumienia aspektem ludzkiego doświadczenia.

W tej książce przyglądam się biologii przemocy, agresji i współzawodnictwa — ludzkim zachowaniom i kierującym nimi impulsom, działaniom jednostek, grup i państw — a także próbuję zrozumieć, kiedy są one dobre, a kiedy złe. To książka o tym, jak ludzie krzywdzą się nawzajem. Ale zarazem o tym, jak ludzie robią coś wprost przeciwnego: czego uczy nas biologia na temat współpracy, związków, pojednania, empatii, altruizmu?

Książka wyrosła z wielu osobistych doświadczeń. Po pierwsze, ponieważ na szczęście niewiele miałem w życiu do czynienia z przemocą, całe zjawisko cholernie mnie przeraża. To z mojej strony typowe myślenie jajogłowego naukowca: wydaje mi się, że jeśli wysmaruję na przerażający mnie temat odpowiednią liczbę stron i wygłoszę dość wykładów, problem da za wygraną i po cichu się ulotni. A gdyby każdy poszedł na odpowiednią liczbę zajęć z biologii przemocy, gdyby każdy porządnie przyłożył się do nauki, to wszyscy moglibyśmy uciąć sobie drzemkę między śpiącym lwem i jagnięciem. Takie są urojenia profesorów na temat skuteczności ich wysiłków.

Do tego dochodzi drugie osobiste doświadczenie, z którego wyrasta ta książka. Jestem z natury wielkim pesymistą. Zaproponuj dowolny temat, a już ja wymyślę, dlaczego to nie ma prawa się udać. Albo może nawet się uda, i to doskonale, ale właśnie dlatego okaże się niezmiernie poruszające i smutne. Strasznie upierdliwa cecha, zwłaszcza dla osób skazanych na moje towarzystwo. Wychowując dzieci, uświadomiłem sobie, że muszę pod tym względem naprawdę wziąć się w garść. Poszukiwałem danych, które by potwierdziły, że nie jest aż tak źle. Zacząłem od małych kroków, ćwicząc na własnych dzieciach: „Nie płacz, na pewno cię nie zje żaden tyranozaur; no pewnie, że tata znajdzie Nemo”. A ku własnemu zaskoczeniu, im więcej się dowiadywałem o sprawach opisywanych w tej książce, tym bardziej uświadamiałem sobie, że obszary, w których ludzie krzywdzą się nawzajem, wcale nie są uniwersalne ani nieuniknione, a nauka zaczyna zauważać, jak można ich unikać. Jako pesymista przyznaję to niechętnie, ale są powody do optymizmu.

Moje podejście w tej książce

Zarabiam na życie jako neurobiolog (czyli zajmuję się badaniem mózgu) i zarazem prymatolog (czyli zajmuję się badaniem ssaków naczelnych: małp i lemurów). Dlatego ta książka jest głęboko osadzona w nauce, a ściślej: w biologii. Wynikają z tego trzy kluczowe sprawy. Po pierwsze, bez biologii takie zjawiska, jak agresja, współzawodnicstwo, współpraca czy empatia stają się zupełnie nie do pojęcia. Mówię to pod adresem tych socjologów, których zdaniem biologia w myśleniu o ludzkich zachowaniach społecznych jest nieistotna i ideologicznie podejrzana. Ale po drugie i równie istotne, w taki sam kanał pakujemy się, opierając myślenie wyłącznie na biologii. Mówię to pod adresem tych molekularnych fundamentalistów, którzy uważają, że dni socjologii są policzone, bo kiedyś socjologię zastąpi „prawdziwa” nauka. I po trzecie, po lekturze tej książki przekonasz się, że tak naprawdę bez sensu jest rozróżnienie między zachowaniami „biologicznymi” a — powiedzmy — „psychologicznymi” czy „kulturowymi”. Są one nierozzerwalnie splecione.

Zrozumienie biologii ludzkich zachowań jest oczywiście ważne. Niestety, jest jednocześnie piekielnie skomplikowane². Gdyby ktoś chciał zrozumieć na przykład biologiczne podłoże tego, jak ptaki wędrowne odnajdują drogę albo jak działa impuls kopulacyjny u samichomika podczas owulacji, zadanie byłoby łatwiejsze. Ale nas interesuje coś innego: ludzkie zachowania; ludzkie zachowania społeczne; a często mało tego: ludzkie zachowania społeczne, które odbiegają od normy. Jest to prawdziwy groch z kapustą, w którym mieszają się procesy chemiczne zachodzące w mózgu, hormony, bodźce zmysłowe, środowisko rozwoju płodowego, wczesne doświadczenia z dzieciństwa, geny, ewolucja biologiczna i kulturowa, wpływ środowiska naturalnego i nie tylko.

Jak zrozumieć wszystkie te czynniki, które wpływają na nasze myślenie o ludzkich zachowaniach? Mając do czynienia z czymś złożonym i wieloaspektowym, wykorzystujemy pewną strategię poznawczą, która polega na tym, że poszczególne elementy należy rozbić na osobne kategorie, coś w rodzaju szufladek z wyjaśnieniami. Wyobraźmy sobie, że obok stoi kogut, a po drugiej stronie

ulicy — kura. Kogut wykonuje gest zachęcający do kopulacji, który jak na kurze standardy jest bardzo seksowny, i kura zaraz do niego w tym celu przybiega (nie mam pojęcia, czy tak to wygląda, ale załóżmy). I oto z perspektywy biologii behawioralnej stajemy przed kluczowym pytaniem — dlaczego kura przeszła przez jezdnię? Jeśli zajmujesz się psychoneuroendokrynologią, odpowiesz: „Bo poziom estrogenu w organizmie kury podzielał na pewną część jej mózgu, przez co stała się podatna na sygnały samca”. Jeśli zajmujesz się bioinżynierią, powiesz: „Bo długa kość w nodze kury łączy się w stawie z kością miedniczą (czy coś w tym stylu), dzięki czemu może szybko poruszać się do przodu”, a jeśli zajmujesz się biologią ewolucyjną, powiesz: „Bo przez miliony lat kury, które reagowały na takie gesty akurat wtedy, kiedy były płodne, zostawiały po sobie więcej kopii własnych genów, dlatego teraz takie zachowania są u kur wrodzone” — i tak dalej. Myślenie kategoriami, trzymanie się szufladki wyjaśnień z jednej dyscypliny naukowej.

W tej książce chodzi o oduczenie się myślenia kategorycznego. Schludne układanie faktów w ściśle określonych szufladkach ma swoje zalety — na przykład może pomagać w ich zapamiętywaniu. Ale może też całkiem paraliżować myślenie. Dzieje się tak, bo choć granice między kategoriami są często arbitralne, to kiedy raz nakreślimy taką czy inną arbitralną granicę, zapominamy o jej arbitralności i przesadnie bierzemy ją sobie do serca. Na przykład zakres widma światła widzialnego obejmuje różne długości fal, od fioletu do czerwieni, ale granice oddzielające nazwy poszczególnych kolorów są arbitralne (na przykład to, gdzie widzimy przejście niebieskiego w zielony). Dowodem tego jest fakt, że różne języki arbitralnie dzielą zakres widma na różne sposoby i wymyślają inne wyrazy na określenie barw. Pokaż komuś dwa z grubsza podobne kolory. Jeśli w ojczystym języku tej osoby granica między nazwami kolorów przebiega akurat pomiędzy nimi, taka osoba przeszacuje różnicę między nimi. Jeśli oba kolory należą do tej samej kategorii, zaniży ją. Innymi słowy, kiedy myślimy w sposób kategoryczny, trudno jest nam ocenić podobieństwo czy też różnicę pomiędzy dwiema rzeczami. Kiedy większą uwagę zwracamy na linie podziału, mniejszą zwracamy na całość.

Zatem intelektualnym celem, który stawiam sobie w tej książce, jest unikanie kategorycznego szufladkowania w myśleniu o biologicznym podłożu naszych najbardziej skomplikowanych zachowań — jeszcze bardziej skomplikowanych niż kura przechodząca przez ulicę.

A co w zamian?

Powiedzmy, że u kogoś miało miejsce jakieś zachowanie. Jak do tego doszło? Pierwsza kategoria wyjaśnienia to kategoria neurobiologiczna: co się działo w mózgu takiej osoby na sekundę przed tym zachowaniem? Ale teraz popatrzmy nieco szerzej, na kolejną kategorię wyjaśnienia, dziejącą się trochę wcześniej. Jaki widok, dźwięk czy zapach na sekundy albo minuty wcześniej dostarczył układowi nerwowemu bodźca, który uruchomił w nim takie właśnie zachowanie? Przejdźmy do kolejnej kategorii wyjaśnienia: jakie hormony działały na organizm we wcześniejszych godzinach czy dniach, zmieniając wrażliwość osoby na bodźce zmysłowe, które wywołują zmiany w układzie nerwowym, które uruchamiają takie właśnie zachowanie? Poszukując wyjaśnienia, poszerzyliśmy pole widzenia na tyle, że objęło poziom neurobiologii, otoczenie poznawane zmysłami, a także krótkoterminowe efekty endokrynologiczne.

Poszerzamy pole jeszcze bardziej. Jakie elementy otoczenia we wcześniejszych tygodniach czy latach zmieniły strukturę i funkcjonowanie mózgu tej osoby, a tym samym zmieniły sposób, w jaki reaguje na hormony i bodźce ze środowiska? Potem cofamy się do dzieciństwa tej osoby i jej rozwoju płodowego, do właściwości jej kodu genetycznego. A potem poszerzamy widok jeszcze bardziej, nie ograniczając się do jednostki: jak kultura ukształtowała zachowania ludzi w grupie społecznej, do której należy ta osoba? Jakie czynniki ekologiczne wpływały na kształtowanie się tej kultury? Patrzymy coraz szerzej i szerzej, aż zaczynamy brać pod uwagę zdarzenia sprzed kilkunastu tysięcy lat, to znaczy ewolucję tego konkretnego zachowania.

W porządku, jest to jakiś krok do przodu. Zamiast tłumaczyć wszystkie ludzkie zachowania przez pryzmat jednej dyscypliny (tj. „Wszystko da się wyjaśnić, trzeba tylko zrozumieć ten konkretny...” — i tu do wyboru: hormon / gen / fakt z dzieciństwa), myślimy

o szufladkach wielu różnych dyscyplin. Jednak tutaj zrobimy coś subtelniejszego, co będzie stanowić najważniejszą ideę książki: kiedy tłumaczymy zachowanie za pomocą jednej dyscypliny, w domyśle czerpiemy zarazem ze wszystkich pozostałych — każde wyjaśnienie jest zarazem efektem czynników działających wcześniej. Inaczej się nie da. Kiedy mówisz: „To zachowanie nastąpiło, bo w mózgu uwolnił się związek chemiczny Y, który bierze udział w procesach neurobiologicznych”, to zarazem mówisz: „Dane zachowanie miało miejsce, bo tego ranka wzmożone było wydzielanie hormonu X, co zwiększyło poziom związku Y w mózgu”. Ale także: „Dane zachowanie miało miejsce, bo środowisko, w którym wychowała się ta osoba, sprawiło, że jej mózg łatwiej uwalnia związek Y w reakcji na pewne rodzaje bodźców”. A także: „...ze względu na gen kodujący tę konkretną wersję związku Y”. A nawet najbardziej nieśmiałe przebaknięcie o „genach” sprawia, że trzeba od razu powiedzieć: „...a na przestrzeni tysiącleci różne czynniki ukształtowały ewolucję tego konkretnego genu”. I tak dalej.

Nie ma czegoś takiego jak osobne szufladki poszczególnych dyscyplin. Każda z nich jest produktem końcowym wszystkich wpływów biologicznych, które ją poprzedzały, a zarazem sama wpływa na wszelkie czynniki, które dochodzą do głosu później. Tym samym nie da się powiedzieć, że zachowanie spowodował jakiś jeden gen, hormon czy psychologiczny uraz z dzieciństwa, bo powołując się na jeden rodzaj wyjaśnienia, *de facto* powołujemy się zarazem na wszystkie. Szufladki nie istnieją. Wyjaśnienia „neurobiologiczne”, „genetyczne” czy „rozwojowe” to tylko skróty myślowe — udogodnienia, które pozwalają przez chwilę popatrzeć na tę wieloaspektową mozaikę z określonej perspektywy.

Robi wrażenie, co? A właściwie — może niekoniecznie. Może po prostu w pretensjonalny sposób mówię tyle, że o rzeczach złożonych należy myśleć w sposób złożony. No, no, to ci dopiero odkrycie. Może po cichu skonstruowałem tu sobie chochoła — może milcząco ustawiam sobie przeciwnika do bicia i popadam w samozachwyt: „Oho, my tu będziemy myśleli subtelnie, w sposób wyrafinowany! Nie damy się nabić w butelkę uproszczeń — nie to, co ci wszyscy neurochemicy, biolodzy ewolucyjni i psychoanalitycy, którzy próbują

zaszufladkować kurę przechodzącą przez jezdnię do swoich ograniczonych kategorii”.

Oczywiście naukowcy nie są tacy głupi. Przeciwnie, są inteligentni. Rozumieją, że na każdą rzecz trzeba patrzeć pod różnym kątem. W badaniach z konieczności skupiają się na wąskim wycinku, bo nie da się mieć obsesji na punkcie wszystkiego, ale przecież wiedzą, że ich konkretna szufladka nie wyczerpuje całości zagadnienia.

Może tak, a może nie. Weźmy następujące wypowiedzi najprawdziwszych naukowców. Pierwsza:

Dajcie mi tuzin zdrowych niemowląt i dostarczcie im to wszystko, co składa się na mój własny, szczególny świat, a zapewniam was, że wezmę na chybił trafił jedno z nich i uczynię z niego dowolnego typu specjalistę, czy to będzie lekarz, sędzia, artysta, kupiec, a nawet żebrak czy złodziej, bez względu na jego talenty, skłonności, zadatki i rasę przodków³.

To John B. Watson, założyciel behawioryzmu, piszący w 1924 roku. Behawioryzm — teoria oparta na przekonaniu, że zachowania są całkowicie elastyczne i w odpowiednim środowisku dają się swobodnie kształtować — zdominował amerykańską psychologię w połowie XX wieku; wrócimy jeszcze do behawioryzmu i jego poważnych ograniczeń. Chodzi o to, że Watson w patologicznym wręcz stopniu tkwił w swojej szufladce wpływu środowiska na rozwój. „Zapewniam was, że [...] uczynię z niego dowolnego typu specjalistę”. A przecież nie rodzimy się wszyscy tacy sami, z takim samym potencjałem, i nie zmienia tego żaden trening^{*4}.

Następna wypowiedź:

Normalne życie psychiczne zależy od prawidłowego funkcjonowania synaps mózgowych, a zaburzenia umysłowe biorą się z aberracji

* Niedługo po tej wypowiedzi Watson musiał salwować się ucieczką ze środowiska akademickiego w atmosferze seksualnego skandalu. W końcu wypłynął z powrotem na stanowisku wiceprezesa firmy reklamowej. Może i nie da się kształtować ludzi w dowolny sposób, ale przynajmniej często udaje im się wcisnąć jakieś bezużyteczne badziewie.

synaptycznych [...]. Koniecznością jest korygowanie owych synaptycznych dopasowań i zmiana ścieżek, którymi impulsy podążają w swym nieustannym biegu, tak aby zmodyfikować odpowiadające im idee i kierować myśl na inne tory⁵.

Korygowanie synaptycznych dopasowań. To pewnie jakaś delikatna operacja? Akurat. Słowa te wypowiedział portugalski neurolog Egas Moniz mniej więcej w czasie, kiedy w 1949 roku przyznano mu Nagrodę Nobla za opracowanie techniki leukotomii przedczołowej. Oto kolejny człowiek patologicznie tkwiący w szufladce opartej na prostackim rozumieniu układu nerwowego. Wystarczy tylko skorygować wszystkie te mikroskopijne synapsy ogromnym szpikulcem do lodu (jak to robiono w owym czasie, kiedy leukotomie, potem nazywane „lobotomią przedczołową”, zaczęto wykonywać niemal taśmowo).

I ostatni cytat:

Jak dawno ustalono, moralni imbecyle mają niezmiernie wysoki współczynnik reprodukcji [...]. Dzięki temu społecznie pośledni materiał ludzki może [...] przenikać zdrowy naród i ostatecznie go unicestwić. Jest rzeczą nieodzowną, by jakaś instytucja [...] prowadziła dobór pod kątem hartu, bohaterstwa i społecznej przydatności, o ile nie chcemy, żeby ludzkość z braku czynników doboru popadła w ruinę na skutek degeneracji wywołanej takim udomowieniem. Wiele udało się tu już osiągnąć, gdy ideę rasową uczyniono podwaliną naszego państwa. Jest dla nas tedy obowiązkiem i powinnością oprzeć się na zdrowych uczuciach wobec najlepszych spośród nas i powierzyć im [...] eksterminację tych elementów ludności, które pełne są mętów ludzkich⁶.

To Konrad Lorenz, behawiorysta zwierząt, noblista, współzałożyciel nowoczesnej etologii (jeszcze do tego wrócimy), regularny bywalec telewizyjnych programów przyrodniczych⁷. Choć wyglądał jak dobrotliwy dziadunio, Lorenz — ubrany w austriackie krótkie spodnie z szelkami, chodzący z nieodłącznym stadkiem gąsiątek, które traktowały go jak matkę za sprawą zjawiska wdrukowania — był zara-

zem zajadłym propagandzistą nazizmu. Wstąpił do Partii Narodowo-Socjalistycznej, kiedy tylko stało się to możliwe dla Austriaków, i został pracownikiem Urzędu Polityki Rasowej NSDAP, gdzie zajmował się psychologiczną selekcją Polaków o polsko-niemieckich korzeniach, żeby oceniać, którzy są dostatecznie zgermanizowani, żeby uniknąć śmierci. Oto człowiek patologicznie tkwiący w urojonej szufladce wynikającej z poważnych błędów w interpretacji działania genów.

Nie byli to nieznani badacze piszący trzeciorzędne prace na prowincjonalnych uniwersytetach. Wszyscy trzej zaliczali się do najbardziej wpływowych naukowców XX wieku. Mieli wpływ na to, kogo i w jaki sposób edukujemy, kształtowali nasze myślenie o tym, jakim problemom społecznym można zaradzić, a jakich nawet nie warto ruszać. To przez nich wykonywano na ludziach przymusowe zabiegi niszczące mózg, oni pomagali wdrażać ostateczne rozwiązania nieistniejących problemów. Czasami przekonanie naukowca, że jakieś ludzkie zachowanie można całkowicie wytłumaczyć z jednej jedynej perspektywy, jest czymś o wiele poważniejszym niż czysto akademickim problemem.

Ludzie jako zwierzęta i wszechstronność ludzkiej agresji

A zatem to będzie naszym pierwszym intelektualnym wyzwaniem — zawsze myśleć w sposób interdyscyplinarny. Wyzwanie drugie polega na tym, żeby myśleć o ludziach jako o przedstawicielach małych, naczelnych oraz ssaków. Ależ owszem, jak najbardziej — jesteśmy pewnego rodzaju zwierzętami. Sporym wyzwaniem będzie zrozumieć, kiedy niczym się nie różnimy od innych zwierząt, a kiedy jesteśmy od nich całkiem inni.

Czasami rzeczywiście jesteśmy jak każde inne zwierzę. Kiedy się boimy, wydzielamy ten sam hormon, co zdominowane ryby nękanie przez silniejszego osobnika. Biologiczny mechanizm przyjemności uruchamia w naszym mózgu te same związki chemiczne, co w mózgu kapibary. Neurony u ludzi i krewetek działają jednakowo. Kiedy umieścimy razem dwie samice szczura, z upływem tygodni ich cykle reprodukcyjne zsynchronizują się, aż w końcu będą owulowały

równocześnie, z dokładnością do kilku godzin. Jeśli spróbujemy tego samego z kobietami (według niektórych badań, choć nie wszystkich) stanie się coś podobnego. Nazywa się to efektem Wellesley, bo po raz pierwszy wykazano go w akademiku żeńskiej uczelni Wellesley College⁸. Także pod względem przemocy potrafimy być zupełnie tacy sami, jak niektóre inne małpy — okładamy pięściami, walimy kijem, rzucamy kamieniami, zabijamy gołymi rękami.

Dlatego czasami nasze intelektualne wyzwanie będzie polegało na tym, żeby sobie przyswoić świadomość, jak bardzo bywamy podobni do innych gatunków, a czasami na tym, żeby zauważyć, iż pomimo fizjologicznych podobieństw wykorzystujemy własną fizjologię na zupełnie nowe sposoby. Kiedy oglądamy przerażający film, uruchamia się u nas typowa fizjologia czujności. Kiedy myślimy o śmierci, wyzwalamy w sobie reakcję stresową. Wydzielamy hormony wiążące się z opieką nad potomstwem i nawiązywaniem więzi społecznych, ale u nas dzieje się to na widok małej, słodkiej pandy. Jak najbardziej dotyczy to również agresji — wykorzystujemy te same mięśnie, co samiec szympansa atakujący seksualnego rywala, ale robimy to po to, żeby komuś wyrządzić krzywdę z powodów ideologicznych.

A bywa i tak, że aby zrozumieć własne człowieczeństwo, musimy się skupić wyłącznie na ludziach, bo robimy też rzeczy zupełnie wyjątkowe. Choć jest kilka gatunków, które regularnie uprawiają seks w celach innych niż reprodukcyjne, my jako jedyni rozmawiamy potem, jak nam było. Tworzymy kultury oparte na wspólnych poglądach na temat natury życia i umiemy nasze przekonania przekazywać kolejnym pokoleniom, nawet pomiędzy ludźmi, których dzielą tysiące lat — wystarczy wspomnieć nieprzemijający bestseller, jakim jest Biblia. Podobnie umiemy zadawać krzywdę na wiele niespotykanych u zwierząt, choć fizycznie niewymagających sposobów: pociągając za spust, kiwając głową na znak przyzwolenia czy odwracając wzrok. Umiemy być biernie agresywni, wygłaszać dwuznaczne komplementy, ranić szyderstwem, wyrażać pogardę pod płaszczykiem protekcyjnej troski. Wszystkie gatunki są wyjątkowe, ale my potrafimy być wyjątkowi w naprawę wyjątkowy sposób.

Oto dwa przykłady pokazujące, jak dziwni i wyjątkowi potrafią być ludzie, kiedy starają się nawzajem skrzywdzić albo zatroszczyć

się o siebie nawzajem. Pierwszy przykład to, no cóż... moja żona. Jedziemy sobie naszym minivanem, dzieci siedzą z tyłu, żona prowadzi. Nagle jakiś palant wciska się przed nas, wymuszając pierwszeństwo i prawie doprowadzając do wypadku. Widać, że to nie była z jego strony nieuwaga, tylko czysty egoizm. Żona na niego trąbi, a gość pokazuje nam środkowy palec. Jesteśmy wściekli, wychodzimy z siebie: „Co za buc!”, „Jak policja jest potrzebna, to oczywiście nigdzie ich ma!” i tak dalej. Nagle żona stwierdza, że pojedziemy za nim, niech się trochę przestraszy. Nadal jestem wściekły, ale nie wydaje mi się to najroztropniejszą decyzją na świecie. Mimo to żona jedzie tuż za nim, zderzak w zderzak.

Po paru minutach facet zaczyna robić uniki, ale żona jedzie za nim krok w krok. W końcu oba samochody zatrzymują się na czerwonym świetle. Znamy tę okolicę i wiemy, że czerwone trwa tu długo. Przed winowajcą stoi inny samochód, więc nie ma jak się wymknąć. Nagle żona wyciąga coś z podłokietnika, otwiera drzwi i rzuca pod nosem: „No to teraz gość pożałuje”. Próbuje coś uspokajająco wybąkać: „Yyy, kochanie, czy to na pewno dobry...”, ale żona już wysiadła z samochodu i zaczyna gościowi walić pięścią w szybę. Podbiegam i słyszę, jak żona jadowitym tonem kończy: „Jeśli mogłeś zrobić coś tak wstrętnego drugiej osobie, na pewno ci się przyda”. Następnie wrzuca mu coś do środka przez okno. Wraca do samochodu triumfująca, po prostu rozanielona.

— Coś ty mu tam wrzuciła?!

Na razie żona milczy. Światło zmienia się na zielone, za nami nie ma nikogo, po prostu sobie stoimy. Samochód łajdaka zaczyna grzeczniutko migać kierunkowskazem, powoli skręca i rusza w boczną uliczkę, jadąc może dziesięć na godzinę. Jeśli samochód może mieć zawstydzony wygląd, to ten tak właśnie wyglądał.

— Kochanie, powiedz mi, co ty mu tam wrzuciłaś?

Żona pozwala sobie na złośliwy uśmieszek.

— Lizaka. O smaku winogronowym. — Jej popis biernej agresji aż mi zapiera dech w piersi. — Powiedziałam mu: „W twoim dzieciństwie coś musiało pójść mocno nie tak, że jesteś aż tak wrednym i wstrętnym człowiekiem. Może chociaż lizak coś pomoże”.

Tamten facet dwa razy się zastanowi, zanim znowu z nami za drze. Poczułem, jak rozpiera mnie duma.

I drugi przykład: w połowie lat sześćdziesiątych w Indonezji wojsko przeprowadziło prawicowy zamach stanu i obaliło rząd. Tak zaczęła się trzydziestoletnia dyktatura Suharto znana jako Nowy Porządek. Po zamachu stanu nowy rząd rozpoczął falę czystek komunistów, lewicowców, członków związków zawodowych i osób chińskiego pochodzenia, która pochłonęła około pół miliona zabitych⁹. Masowe egzekucje, tortury, palenie wsi razem z mieszkańcami zamkniętymi w budynkach. W książce *Among the Believers: An Islamic Journey* V.S. Naipaul opisał zasłyszana w Indonezji pogłoskę, że kiedy bojówki zjawiały się, żeby wybić ludność wsi, w absurdalnym geście przyprowadzały ze sobą tradycyjną kapelę gamelanową. Naipaul sam spotkał w końcu weterana takiej masakry, który przyznawał się do tego bez skruchy, i zapytał go o te pogłoski. „Tak, to prawda. Przywoziliśmy ze sobą muzykantów, śpiewaków, flety, gongi, cały kram”. Ale po co? Jaki to mogło mieć sens? Mężczyzna zrobił zdziwioną minę i udzielił odpowiedzi, która jemu wydawała się oczywista: „No, żeby było ładniej”.

Bambusowe flety palące wsie, lizakowa balistyka macierzyńskiej miłości. Przed nami niemałe zadanie, jeśli chcemy zrozumieć wirtuozerię, z jaką ludzie potrafią się troszczyć o siebie nawzajem albo zadawać sobie krzywdę — a także jak ściśle splata się czasem biologiczne podłoże jednego i drugiego.

Rozdział 1

Zachowanie

Zatem strategię mamy ustaloną. Doszło do jakiegoś zachowania — może było naganne, może wspaniałe, może trudno to nawet ocenić. Co takiego zdarzyło się w ostatniej sekundzie, że wywołało takie właśnie zachowanie? To pytanie dotyczy układu nerwowego. A co się działo we wcześniejszych sekundach czy minutach, że sprawiło, iż układ nerwowy wytworzył takie zachowanie? To pytanie z dziedziny bodźców zmysłowych, w dużej mierze odbieranych nieświadomie. A co się działo w poprzednich godzinach czy dniach, zmieniając wrażliwość układu nerwowego na takie bodźce? Silnie działały hormony. I tak dalej, aż cofniemy się do wpływów ewolucyjnych działających na przestrzeni milionów lat, które wszystko to wprowadziły w ruch.

Czyli jesteśmy gotowi. Tyle tylko, że kiedy przystępujemy do tak olbrzymiego i zawikłanego tematu, wypadałoby na początek zdefiniować pojęcia. A to jest mi bardzo nie w smak.

Oto garść słów o kluczowym znaczeniu dla tej książki: agresja, przemoc, współczucie, empatia, współzawodnictwo, współpraca, altruizm, zawiść, *Schadenfreude*, złośliwość, przebaczenie, pojednanie, zemsta, wzajemność oraz (dlaczego nie?) miłość. I natychmiast grzęźniemy w niejasnych definicjach.

Skąd trudność? Jak podkreślałem we wstępie, jeden powód jest taki, że o wiele pojęć toczą się ideologiczne wojny na tle zawłaszczania i przeinaczenia ich znaczeń^{*1}.

^{*} Niedawno natknąłem się na zaskakujący przykład niekonwencjonalnie zdefiniowanych pojęć. Chodzi o Menachema Begina, jednego z autorów Porozumienia

Słowa mają moc, a definicje niosą ze sobą wartości, nieraz szalenie specyficzne. Weźmy na przykład różne znaczenia, jakie może przybierać dla mnie słowo „konkurować”. (a) Można „konkurować” w sensie współzawodniczenia: twój zespół badawczy ściga się z zespołem z Cambridge, kto pierwszy dokona naukowego odkrycia (szalenie emocjonujące, ale trochę głupio się do tego przyznać); (b) można „konkurować” w sensie rywalizacji: gramy z kolegami w piłkę nożną (nie ma problemu, o ile najlepszy zawodnik przechodzi do drugiej drużyny, kiedy mecz robi się zbyt jednostronny); (c) można „konkurować” w sensie udziału w konkursie: w szkole ogłoszono, że na Święto Dziękczynienia dzieci mogą zdobyć nagrodę za najlepszy rysunek indyka odrysowanego od rozłożonych palców (trochę to niepoważne, potencjalnie sygnał alarmowy — jeżeli takich akcji będzie więcej, może trzeba będzie pogadać z dyrekcją); (d) można „konkurować” w sensie rywalizacji o to, czyje bóstwo najbardziej zasługuje na to, żeby zabijać dla niego innych (tego najlepiej unikać).

Jednak najważniejszą przyczynę trudności ze zdefiniowaniem pojęć podkreśliłem we wstępie — te pojęcia oznaczają co innego dla naukowców w różnych dyscyplinach. Czy „agresja” jest kwestią myśli, uczuć, a może czymś, co robimy za pomocą mięśni? Czy „altruizm” to coś, co można badać matematycznie u różnych gatunków, nawet u bakterii, czy może rozmawiamy tu o rozwoju moralności u dzieci? Te odmienne perspektywy w inny sposób będą domyślnie łączyły i rozdzielały rozmaite aspekty — ci naukowcy są zdania, że zachowanie X dzieli się na dwa różne podtypy; tamci uważają, że podtypów jest siedemnaście.

z Camp David, które wynegocjował w 1978 roku jako premier Izraela. W połowie lat czterdziestych Begin był szefem organizacji o nazwie Irgun, paramilitarnej grupy syjonistycznej, której celem było wypchnięcie władz brytyjskich z Palestyny, co miało ułatwić stworzenie państwa Izrael. Irgun zdobywał pieniądze na zakup broni wymuszeniami i rabunkami, powiesił dwóch pojmanych żołnierzy brytyjskich i zaminował ich zwłoki, a także przeprowadził wiele zamachów bombowych, z których najgłośniejszy był atak na sztab brytyjski w hotelu King David w Jerozolimie — śmierć poniosło nie tylko wielu urzędników brytyjskich, ale także dziesiątki cywilów arabskich i żydowskich. Jak pisał o tych działaniach sam Begin? „Z historycznego punktu widzenia nie byliśmy ‘terrorystami’. Ściśle rzecz biorąc, byliśmy a n t y t e r r o r y s t a m i” (podkreślenie autora).

Przyjrzyjmy się „agresji”² pod kątem jej różnych typów. Behawiorysty zwierzęcy rozróżniają agresję ofensywną od obronnej, co pozwala odróżnić intruza od mieszkańca terytorium. Te dwie odmiany agresji mają inne podłoże biologiczne. Ci sami naukowcy odróżniają też agresję wobec osobników własnego gatunku od walki z drapieżcą. Za to kryminolodzy rozróżniają między przemocą popełnianą impulsywnie a przemocą popełnianą z premedytacją. Antropologów interesują różne poziomy organizacji związanej z agresją, czyli rozróżniają działania wojenne od zemsty klanowej i zabójstw.

Mało tego, różne dyscypliny rozróżniają między agresją reaktywną (będącą odpowiedzią na prowokację) a spontaniczną, a także między porywczą, gorącą agresją emocjonalną i zimną agresją instrumentalną (np. „Zamierzam wybudować sobie gniazdo na twojej miejscówce, więc spadaj stąd albo wydziobię ci oczy — to nic osobistego”)³. Jest jeszcze inny rodzaj zachowań typu „To nic osobistego”: obieranie sobie kogoś za cel tylko dlatego, że jest słaby, a ty akurat czujesz frustrację, stres, ból czy potrzebę wyładowania agresji. Zjawisko wyładowania agresji na osobie trzeciej jest wszechobecne — poraż szczura prądem, a pewnie ugryzie mniejszego szczura, który mu się nawinie; kiedy w stadzie pawianów samiec beta przegra walkę z samcem alfa, zaczyna gonić samca omega*; kiedy urośnie bezrobocie, wzrasta też odsetek przemocy domowej. W rozdziale 4 omówimy przynębiający fakt, że takie zastępcze wyładowanie agresji pomaga obniżyć poziom hormonu stresu u agresora; kiedy ktoś dostaje przez ciebie wrzodów na żołądku, tobie łatwiej jest ich unikać. Do tego oczywiście dochodzi przerażający świat agresji nie zadawanej ani reaktywnie, ani instrumentalnie, ale dla przyjemności.

* Widziałem ciekawy tego przykład wśród pawianów, które badałem we wschodniej Afryce. W ciągu trzydziestu paru lat obserwacji kilka razy byłem świadkiem zdarzeń, które moim zdaniem śmiało można nazwać „gwałtem”, choć z pozoru to określenie odnosi się tylko do ludzi: sytuacji, w których pawian penetrował samicę wbrew jej woli, mimo że nie była w rui, nie miała ochoty na seks, szarpała się, żeby tego uniknąć, i w trakcie kopulacji przejawiała wszelkie oznaki strachu i bólu. Za każdym razem robił to poprzedni samiec alfa w ciągu kilku godzin od momentu, w której inny samiec zrzucił go ze szczytu hierarchii w stadzie.

Można też wyróżnić wyspecjalizowane podtypy agresji — np. agresja macierzyńska często cechuje się odrębną endokrynologią. Jest też różnica między agresją a zrytualizowaną groźbą przemocy. Na przykład u wielu naczelnych prawdziwa agresja występuje rzadziej niż jej zrytualizowane groźby (np. szczerzenie kłów). Agresja u ryb z gatunku bojowników syjamskich też jest przeważnie zrytualizowana*.

Równie trudno jest jasno zdefiniować pozytywniejsze pojęcia. Trzeba jakoś odróżnić empatię od współczucia, pojednanie od przebaczenia czy altruizm od „altruizmu patologicznego”⁴. Dla psychologa to ostatnie pojęcie może oznaczać empatyczne współzależnienie, kiedy ktoś umożliwia partnerowi czy partnerce używanie narkotyków. Dla neurobiologa oznaczałoby to efekt specyficznych uszkodzeń czołowej kory mózgu — np. grając w gry ekonomiczne wymagające zmiany strategii, osoby z takimi uszkodzeniami mózgu nie potrafią się przestawić na mniej altruistyczny styl gry nawet wtedy, kiedy drugi gracz raz za razem wbija im nóż w plecy — i to pomimo że potrafią opisać słowami strategię przeciwnika.

* Współcześnie znakomitym przykładem zrytualizowanej agresji u ludzi jest taniec haka wykonywany przez nowozelandzkie drużyny rugby. Przed meczem zawodnicy ustawiają się na boisku, teatralnie stroją groźne miny i wykonują neomaoryski taniec wojenny: rytmicznie tupią, wykonują groźne gesty i wydają gardłowe okrzyki. Dobrze się to ogląda z daleka na YouTube (a jeszcze lepiej obejrzeć filmik, na którym Robin Williams wykonuje hakę w programie Charliego Rose’a na kanale PBS), ale z bliska zwykle odnosi się wrażenie, że druga drużyna ma pełne gacie. Jednak niektóre reprezentacje wymyśliły własne zrytualizowane odpowiedzi, których nie powstydziliby się pawiany — ostentacyjnie rzucają Nowozelandczykom harde spojrzenia i próbują ich zmusić do odwrócenia wzroku. Jeszcze inne drużyny wypracowały własne rytualne reakcje, które są czystą ilustracją człowieczeństwa w całej jego wyjątkowości — ignorują hakę przeciwników i nonszalancko robią rozgrzewkę; wyciągają smartfony i filmują taniec, sprowadzając go do poziomu czegoś w rodzaju turystycznej atrakcji; na koniec ironicznie biją przeciwnikom zdawkowe brawko. Jedna z takich reakcji może się na pierwszy rzut oka wydać czysto ludzka, ale wystarczyłoby ją nieco przetłumaczyć, a stałaby się zrozumiała dla każdego przedstawiciela naczelnych: sportowy biuletyn wydawany przez pewną australijską drużynę zamieścił fotomontaż ze zdjęciem znienawidzonego wroga — nowozelandzkiej reprezentacji wykonującej hakę — na którym każdemu zawodnikowi doklejono w Photoshopie damską torebkę.

Jeśli chodzi o bardziej pozytywne zachowania, najważniejsze pytanie wykracza poza kwestie semantyki: czy czysty altruizm w ogóle istnieje? Czy da się oddzielić czynione dobro od oczekiwania wzajemności, poklasku, poczucia własnej wartości lub obietnicy raju? Fascynujący aspekt tego przedstawia reportaż *The Kindest Cut* [Najżyczliwsze cięcie] Larissy MacFarquhar, który ukazał się w 2009 roku w czasopiśmie „New Yorker”⁵. Opowiada on o osobach, które oddają własne narządy wewnętrzne do przeszczepu, ale nie krewnym czy przyjaciółom, lecz nieznanym. Z pozoru jest to akt czystego altruizmu. A jednak tacy dobrzy Samarytanie wytrącają ludzi z równowagi, budzą podejrzliwość i sceptycyzm. Czy ona po cichu liczy, że jej zapłacą za nerkę? Czy aż tak jej zależy na rozgłosie? Może chce się zbliżyć do biorcy narządu i rozegrać scenariusz jak z filmu *Fatalne zauroczenie*? O co jej chodzi?

Reportaż sugeruje, że te akty najgłębszego dobra wytrącają ludzi z równowagi, bo są podejmowane na chłodno, bez emocji.

Wiąże się z tym ważna myśl, która będzie się przewijać przez całą książkę. Jak pisałem, odróżniamy przemoc w afekcie od przemocy popełnianej z zimną krwią. Dla tej pierwszej mamy więcej zrozumienia, potrafimy dostrzec okoliczności łagodzące — na przykład szalejący z rozpaczny człowiek, który zabija zabójcę własnego dziecka. Za to przemoc popełniana bez emocji wydaje się przerażająca i niezrozumiała. Oto socjopatyczni płatni mordercy, oto Hannibal Lecter, który zadaje śmierć i nawet nie zabije mu przy tym mocniej serce⁶. Dlatego zabójstwo z zimną krwią jest tak potępiającą oceną.

* Fascynującym, groteskowym przykładem jest tu zastępczy zespół Münchhausena, w którym kobieta (zaburzenie w ogromnej większości dotyczy kobiet) wywołuje u dziecka rozmaite choroby z patologicznej potrzeby zwrócenia na siebie uwagi i zainicjowania się w systemie opieki zdrowotnej. Nie mówimy tu o kimś, kto oszukuje lekarza, że dziecko miało w nocy gorączkę. Chodzi o osoby, które celowo podają dzieciom środki wymiotne, podtruwają je albo przyduszają, żeby wywołać u nich objawy niedotlenienia — często ze skutkiem śmiertelnym. Charakterystyczną cechą tego zaburzenia jest zdumiewający brak emocji u matek. Po takich zachowaniach można by się spodziewać jakichś barwnych przejawów szaleństwa, tymczasem mamy tu do czynienia z chłodnym dystansem, tak jakby taka osoba mogła równie dobrze oszukiwać weterynarza, że zachorowała im złota rybka, albo naciągać supermarket na naprawę gwarancyjną sprawnego tosterka, gdyby tylko czerpała z tego takie same korzyści

Na tej samej zasadzie spodziewamy się, że najlepsze i najbar-dziej prospołeczne uczynki będą ciepłe i serdeczne, pełne pozytywnych emocji. Dobro czynione z zimną krwią niepokoi, wydaje się we-wnętrzną sprzecznością. Byłem raz na konferencji, w której udział brali neurobiolodzy i buddyjscy mnisi na najwyższym poziomie za-awansowania w medytacji (ci pierwsi badali, co podczas medyta-cji dzieje się w mózgach tych drugich). Naukowiec zapytał pewne-go mnicha, czy zdarza mu się przerwać medytację dlatego, że go bolą kolana od siedzenia ze skrzyżowanymi nogami. Mnich odpowiedział: „Czasem przerywam medytację wcześniej, niż zamierzałem, ale nie z powodu bólu; bólu nawet nie zauważam. Robię to z życzliwości dla swoich kolan”. „O rany — pomyślałem sobie — ci goście są z innej planety!”. Owszem, jest to planeta fajna i godna pochwały, ale jednak inna niż nasza. Nam najłatwiej jest zrozumieć zbrodnie popełniane w afekcie i dobre uczynki płynące z porywu serca (choć, jak się jesz-cze przekonamy, beznamietna dobroć też ma często wiele zalet).

Zło w afekcie, ciepłe i życzliwe dobro oraz niepokojący paradoks ich zimnokrwistych odpowiedników skrywają ważną ideę, którą naj-lepiej ujął w słowa Elie Wiesel, zdobywca Pokojowej Nagrody Nobla i były więzień obozów koncentracyjnych: „Przeciwieństwem miłości nie jest nienawiść; jej przeciwieństwem jest obojętność”. Jak się prze-konamy, biologiczne podłoże silnej miłości i silnej nienawiści jest pod wieloma względami podobne.

A to przypomina nam, że nie nienawidzimy agresji; nienawidzi-my agresji niewłaściwej, a we właściwym kontekście ją uwiel-biamy. I na odwrót, w niewłaściwym kontekście nawet najbardziej godne pochwały zachowania stają się odwrotnością samych siebie. Właściwości motoryczne naszych zachowań są nieistotne i łatwiej-sze do zrozumienia niż sens ukryty w ruchach naszych mięśni.

Wykazało to pewne pomysłowe badanie⁷. Uczestnicy badani apa-raturą do obrazowania mózgu wchodzili do wirtualnego pomieszcze-nia, w którym mogli spotkać albo osobę raną potrzebującą pomocy,

psychologiczne. Zastępczy zespół Münchhausena szczegółowo omawiam w rozdziale „Zbrodnie w pokoju dzieciennym” mojej książki *Małpie amory i inne pouczające historie o zwierzęciu zwanym człowiekiem* (na polski tłumaczyła E. Kołodziej-Józefowicz, Prószyński i S-ka, 2008), s. 142-168.

albo groźnego kosmitę. Mieli przy tym wybór — mogli zrobić napotkanej osobie opatrunek albo ją zastrzelić. Pociągnięcie za spust i obandażowanie rany to dwa różne zachowania. Ale są o tyle do siebie podobne, że obandażowanie rannego i zastrzelenie kosmity jest w obu przypadkach zrobieniem „tego, co trzeba”. Myślenie o tych dwóch różnych wersjach zrobienia tego, co trzeba, aktywowało te same ośrodki w części mózgu najbardziej wyczulonej na kontekst — w korze przedczołowej.

A zatem pojęcia mające fundamentalne znaczenie dla tej książki są zarazem najtrudniejsze do zdefiniowania, bo w ogromnej mierze zależą od kontekstu. Dlatego zamierzam je pogrupować w sposób odpowiadający temu faktowi. W dalszej części książki nie będę nazywał zachowań „prospołecznymi” ani „antyspołecznymi” — to zbyt chłodne określenie jak na mój popularyzatorski gust. Nie będę ich też nazywał „dobrymi” ani „złymi” — to zbyt emocjonalne i niejasne. Dla wygody te pojęcia, które w żaden sposób nie dają się zwięźle sformułować, będziemy określali innym myślowym skrótem: książka opowiada o biologicznym podłożu naszych najlepszych i najgorszych zachowań.